



■ Czy tylko zabrakło uścisku dłoni? Wizyta Merkel w Waszyngtonie

Jadwiga Kiwerska

Mając w pamięci spotkania kanclerz Angeli Merkel z prezydentem Barackiem Obamą, zwłaszcza te ostatnie - najpierw w kwietniu 2016 r. w Hamburgu, a potem, w listopadzie 2016 r. już w ramach pożegnalnej wizyty w Berlinie - to tym bardziej dostrzec można ogromny kontrast z atmosferą i efektami zeszlotygodniowego pobytu szefowej niemieckiego rządu w Waszyngtonie. Rozmowy Merkel i towarzyszącej jej ekipy, w tym grupy przedstawicieli biznesu z prezydentem Donaldem Trumpem oraz członkami jego administracji 17 i 18 marca 2017 r., szczególnie przebieg konferencji prasowej obojga przywódców, a także wrażenie, jakie odnieśli komentatorzy i eksperci, obserwując ich relacje osobiste (jak to się zwykle kolokwialnie określać - ową grę ciała), nie napawały optymizmem. Mówiąc najkrócej, to nie była wizyta, która rozwiała wątpliwości i obawy Niemiec/Europie co do pomysłu, charakteru i kierunku amerykańskiej polityki zagranicznej, zwłaszcza w ramach układu transatlantyckiego.

Co więcej, wizyta ta mogła raczej utwierdzić w przekonaniu, że amerykański prezydent nie docenił wagi i rangi gościa, jakiego przyjmował w Białym Domu. Dlatego oficjalnie i w jego obecności ograniczył się w zasadzie do repetycji dość ogólnych sloganów okazjonalnych (zresztą nie nazbyt wylewnych) i politycznych, zamiast określić przynajmniej ogólną wizję swych planów „europejskich”. Pomijając już niefortunne zachowanie Trumpa w Gabinetce Ovalnym, gdy nie dostyszawszy lub może świadomie ignorując prośbę dziennikarzy/fotoreporterów, powtórzoną przez kanclerz Merkel (w języku angielskim), o zwyczajowy uścisk dłoni, amerykański prezydent gestu tego nie wykonał, to było też wiele innych przykładów, nie służących dobremu opisaniu i krzepiącemu potwierdzeniu wagi wzajemnych relacji amerykańsko-niemieckich/europejskich.

Redakcja:

Radosław Grodzki
Jacek Kubera
(redaktor naczelny)
Piotr Kubiak
Krzysztof Malinowski

Korekta:

Hanna Różanek

Nr 299/2017
21.03.17

ISSN 2450-5080

Biuletyny dostępne
także dzięki:
NEWSLETTER IZ
FACEBOOK
SCRIBD
LINKEDIN
TWITTER

Podczas niezwykle krótkiej, biorąc pod uwagę rangę gościa i okoliczność pierwszego z nim spotkania, konferencji prasowej prezydent Trump skupił się na odczytaniu z kartki krótkiego oświadczenia, w którym zaznaczono, że wprawdzie NATO pozostaje ważnym sojuszem dla Ameryki, ale jego państwa członkowskie muszą zwiększyć swe finansowe zobowiązania wobec Paktu Północnoatlantyckiego - czyli owego wzrostu nakładów budżetowych na obronność do 2 proc. PKB. Można by rzec - *nihil novi*. To z pewnością nie było wystąpienie prezydenta państwa uchodzącego za światowego przywódcę. Raczej wpisywało się w tonację wyborczego sloganu „America First”. Tymczasem, jak wiemy, świat nie tylko stoi wobec bezprecedensowych wyzwań, ale i boryka się z problemami, których rozwiązanie wymagać będzie bliskiej współpracy transatlantyckiej, a nie tylko koncentrowania się na żywotnych interesach Ameryki - zdaje się, że dość wąsko/merkantylnie pojmowanych przez prezydenta Trumpa.

Jeśli odwołamy się do innej konferencji prasowej, ale z udziałem prezydenta Obamy, którą można było obserwować w listopadzie ubiegłego roku, podczas jego ostatniej wizyty w Berlinie, to dysonans jest jeszcze bardziej uderzający. Wówczas opuszczający Białe Dobre prezydent zarysował pogłębiony i merytorycznie doskonale opisany obraz wyzwań na arenie międzynarodowej, dotyczący kwestii najróżniejszych - od bezpieczeństwa począwszy, poprzez problemy polityczne, społeczne i kulturowe, a na ekologicznych skończywszy. Oprócz intelektualnego waloru tego wystąpienia, miało ono jeszcze charakter przesłania, które ustępujący prezydent skierował pod adresem nie tylko swego kontrowersyjnego następcy w Białym Domu, ale też przywódców europejskich, w tym szczególnie kanclerz Merkel, którą czynił swego rodzaju depozytariuszem zachodnich wartości i zasad, ważnym spoiwem układu transatlantyckiego.

Wcześniej, w kwietniu 2016 r. prezydent Obama z uznaniem mówił o Unii Europejskiej, jej osiągnięciach i randze, wyrażając też troskę o perspektywy rozwoju projektu europejskiego, ważnego także w ujęciu globalnym. To wówczas padły słowa: „cały świat potrzebuje silnej, rozwijającej się, demokratycznej i zjednoczonej Europy”. W wystąpieniu Trumpa takich słów, zachęcających państwa europejskie do kontynuowania wytyczonego kursu wspólnotowego, nie było. Można zatem odnieść wrażenie, że „w mocy” pozostają pełne lekceważenia, rysujące złe perspektywy dla Unii Europejskiej opinie Trumpa z okresu kampanii wyborczej i poniekąd potwierdzone bardziej kordialnym przyjęciem w Białym Domu brytyjskiej premier Theresy May, rozpoczynającej właśnie realizację *Brexitu*.

W przeciwieństwie do Obamy, który żegnając się z kanclerz Merkel w listopadzie 2016 r., uznał ją za swego najlepszego partnera, wspaniałego lidera, osobę o wysokiej moralności, prezydent Trump takich rewerencji szefowej niemieckiego rządu nie czynił - zresztą nie byłoby to szczere, bo nie poparte osobistym doświadczeniem. Nie to wszakże byłoby najważniejsze. Choć dla kontrastu dodajmy, że takie pełne zachwyty słowa padły z ust Trumpa pod adresem izraelskiego premiera Benjamina Netanjahu, gdy go po raz pierwszy podejmował w Białym Domu i to krótko po inauguracji prezydentury.

Przechodząc do intencji samej Merkel, to już sam fakt, że kanclerz Niemiec, reprezentująca najsilniejsze państwo w Unii Europejskiej/Europie, nie zważając na wcześniejsze kąśliwe pod jej adresem uwagi republikańskiego kandydata na urząd

prezydencki (jej politykę wobec uchodźców Trump określił jako „total disgrace”) oraz powtarzane już po zwycięstwie wyborczym stwierdzenia o tym samym stopniu zaufania, jakim Trump darzy szefową sojusznicznych Niemiec i Władimira Putina, przywódcę realizującego neoimperialne aspiracje Rosji, zdecydowała się na podróż i spotkanie z nowym gospodarzem Białego Domu, był znaczący. Przypomnijmy, niepisana tradycją było, że nowo wybrany prezydent amerykański pierwszy składał wizytę w Europie/Niemczech, zaś do Waszyngtonu - aby się przedstawić - jeździli nowi szefowie rządu niemieckiego, tworzonego po wygranych wyborach do *Bundestagu*.

Tak było na początku 1999 r., gdy w Waszyngtonie pojawili się socjaldemokratyczny kanclerz Gerhard Schröder i szef partii Zielonych, minister spraw zagranicznych Joschka Fischer. W 2001 r. do Europy przyjechał nowy gospodarz Białego Domu, krytycznie zresztą przyjęty, George W. Bush. Z kolei po pierwszym zwycięstwie wyborczym w 2005 r. do Stanów Zjednoczonych podróżowała chadecka kanclerz Merkel. Już w kwietniu 2009 r., a zatem dwa miesiące po objęciu urzędu, zjawił się w Europie entuzjastycznie tutaj przyjmowany prezydent Obama. W planach Trumpa wizytę w Europie zapisano dopiero na koniec tego roku. Kanclerz Merkel, odchodząc od tej nieformalnej zasady, czyniła więc wymowny gest, niemal wymuszając wcześniejsze spotkanie z nowym gospodarzem Białego Domu. Gest ten oznaczał, że szefowa niemieckiego rządu, niejako w imieniu wspólnoty europejskiej - demonstrując dużo dobrej woli - chce i jest gotowa zrobić wiele, aby utrzymać silną więź transatlantycką, przez dziesięciolecia stanowiącą czynnik nie tylko europejskiego bezpieczeństwa, ale i pozycji oraz rangi Stanów Zjednoczonych na arenie międzynarodowej.

Z takim niewątpliwie zamiarem kanclerz Merkel jechała do Waszyngtonu. Wszak gratulując Trumpowi w listopadzie 2016 r. wyborczego zwycięstwa, kanclerz Merkel ze szczególną mocą podkreślała znaczenie więzi Niemiec/Europą ze Stanami Zjednoczonymi. Przypominała też o wspólnych dla świata Zachodu wartościach, takich jak: demokracja, wolność, szacunek dla prawa i godności człowieka. Właśnie na takiej wspólnocie aksjologicznej - zdaniem szefowej niemieckiego rządu - powinna opierać się współpraca Berlina i Waszyngtonu.

Kreśląc swój główny cel - przekonanie amerykańskiego interlokutora, że Ameryka i Europa nadal się potrzebują, kanclerz odwoływała się w swoim oficjalnym wystąpieniu do problemów trapiących świat i kontynent europejski. Mówiła o gospodarczym aspekcie wzajemnych stosunków. To było niewątpliwie globalne spojrzenie na sytuację międzynarodową. Jej słowa przypominały bardziej owo przesłanie Obamy z 2016 r., tak dobrze diagnozujące wydarzenia na scenie światowej, i mocno odbiegały od miątkiego intelektualnie, skoncentrowanego na drobnych problemach, widzianych wyłącznie w aspekcie amerykańskim, wystąpienia obecnego gospodarza Białego Domu.

Innymi słowy, kanclerz Merkel zaprezentowała się jako lider niemal światowy, a na pewno o wymiarze europejskim, natomiast prezydent Trump - mówił jak przywódca o wąskich horyzontach, skupiony na sprawach o znaczeniu głównie wewnętrznym (*vide*: przywołanie sprawy „wydumanych” podsłuchów założonych przez poprzednią administrację w *Trump Tower* i doszukiwanie się w tym analogii z sytuacją podsłuchiwaną przez amerykańskie służby kanclerz Merkel). Uderzało ogromne doświadczenie kanclerz Merkel, wynikające z długich lat funkcjonowania na arenie międzynarodowej, pozwalające spoglądać na problemy w szerokiej i dłuższej perspektywie.

Prezydent Trump tego doświadczenia - co oczywiste - nie ma, jednak nie zmienia to faktu, że nie widać było wysiłku, aby w kreowaniu pomysłu na relacje z Niemcami/ Europą „dotrzymać kroku” szefowej niemieckiego rządu.

Nie zapominajmy też o interesach innego typu, które kanclerz Merkel pragnęła załatwić w Waszyngtonie. Nie bez powodu w skład jej delegacji weszło liczne grono niemieckich biznesmenów. Problem polega bowiem na tym, że niemiecka gospodarka, silnie uzależniona od eksportu, właśnie w Stanach Zjednoczonych znajduje tak wielu nabywców swoich produktów. Świadomość, że Niemcy/inne państwa więcej w USA sprzedają niż kupują amerykańskich towarów, wywołuje irytację prezydenta Trumpa - to był niezwykle nośny przekaz jego kampanii wyborczej. Przed Merkel stanęło więc trudne zadanie zapobieżenia sytuacji, w której niemieccy producenci znaleźliby się na amerykańskiej liście - jak to określał Trump - „unfair trading partners”. Czy się udało - trudno już teraz ocenić. Biznes lubi konfidencję. W każdym razie tego aspektu podjętego przez kanclerz Merkel wysiłku pominąć nie można.

Nie można też przesądzić, jakie będą konkretne i długofalowe efekty wizyty kanclerz Merkel w Waszyngtonie. Czy jej „poznanie” z prezydentem Trumpem pomoże uświadomić nowemu gospodarzowi Białego Domu wagę relacji z Niemcami/Europą oraz znaczenie trwałości układu transatlantyckiego. Być może zrealizuje się scenariusz, o którym wielokrotnie pisano, że sprawy międzynarodowe nie będą tak ekscytować Trumpa, jak problemy wewnętrzne, na których można zbić większy kapitał wyborczy. Lokator w Białym Domu ograniczy się do kurtuazyjnych spotkań i wizyt, kształtowanie i realizację polityki zagranicznej pozostawiając w gestii bardziej kompetentnych i zaangażowanych członków swej administracji. A z nimi Europa nawiązała już kontakt podczas wizyt Rexa Tillersona, szefa amerykańskiej dyplomacji, sekretarza obrony Jamesa Mattisa czy samego wiceprezydenta Michaela Pence’a. W każdym razie podróż kanclerz Merkel za ocean też miała swe znaczenie, bo - jak sama stwierdziła - „lepiej ze sobą rozmawiać, niż o sobie mówić”.

Tezy zawarte w tekście wyrażają jedynie opinie autora.

Jadwiga Kiwerska - prof. dr hab., pracownik Instytutu Zachodniego i Europejskiej Wyższej Szkoły Biznesu, historyk i politolog, specjalista w zakresie stosunków międzynarodowych, zwłaszcza polityki amerykańskiej.